№ 20. Warszawa, dnia 25 Lutego / 8 Marca 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

TOWARZYSTWO MUZYCZNE WARSZAWSKIE.

Zbawienny wpływ sztuk pięknych a więc i muzyki na społeczeństwo, oddawna jest dowiedzionym i uznanym. Rozwój ich większy lub mniejszy idzie zawsze w parze ze stopniem wykształcenia każdego kraju. Że zaś działanie osób pojedyńczych nie może nigdy osiągnąć wyników tak pomyślnych, jak czynność zbiorowa, więc ludzie silnie czujący potrzebę krzewienia muzyki we właściwym jéj kierunku, od bardzo dawnych już czasów rozpoczęli jednoczyć się w gromady i tym sposobem równie do postępu saméj muzyki jak i do osiągania przez społeczeństwo duchowych z niéj korzyści dzielnie się przyczyniali.

Chociaż każdy naród posiada mniejszą lub większą do muzyki skłonność i zdolność, jednak muzyka na zasadach obecnych oparta, przybyła do nas wraz z całą cywilizacyą od zachodu, równie jak i wszystkie inne sztuki piękne. W krajach zachodnich muzyka głównie się podniosła wszedłszy w usługi kościoła, który jéj trwały byt i rozwój rozległy zapewnił. Pierwiastkowe pojęcia o muzyce w naukowe prawidła ujęte, przynieśli do nas pierwsi krzewiciele chrystianizmu. Skoro raz droga otwartą została, wszystkie potém następne w dziedzinie muzyki zdobycze na zachodzie osiągane, łatwo już do nas dochodziły i do wzrostu muzyki się przyczyniały. Ponieważ muzyka wtedy przeważnie używaną była do potrzeb kościelnych, więc też pod opieką kościoła tworzyć się zaczęły tak zwane *bractwa* muzyczne, które następnie na wzór cechów rzemieślniczych się organizowały i obszerne przywileje zyskiwały.

W Niemczech i we Francyi instytucye bractw muzycznych już w wieku XIV znane były.

Kiedy mianowicie na wzór krajów zachodnich u nas tu się potworzyły, nie wiemy; lecz już ślady ich w roku 1605 spotykamy. W dziele p. t. „Dawne zabytki miasta Krakowa" przez Ambrożego Grabowskiego znajdujemy wzmiankę, iż w roku 1605 Jakób von Enden, Jan Kurowski i Bartłomiéj trębacz byli starszemi krakowskiego bractwa muzyków (seniores fraternitatis musicorum Cracoviensium). Bractwo to ułożyło następnie ustawę dla swego zgromadzenia, którą Władysław IV w roku 1642, a potém Michał Korybut w r. 1669 zatwierdzili.

W Poznaniu było bractwo organmistrzów, które gdy zbyt liczebnie się zmniejszyło, natenczas magistrat do cechu stolarskiego je wcielił.

O bractwie muzyczném warszawskiém tyle wiemy że August II w roku 1699, 25 Sierpnia, wydał na imię szlachetnego Stanisława Fabrowskiego organisty u Fary, przywiléj zatwierdzający bractwo muzyczne i czyniący tegoż Stanisława Fabrowskiego starszym *kongregacyi muzyckiéj*. Jakkolwiek przywiléj ten jest późnym, wszakże treść jego wskazuje, że jeszcze w roku 1622 zapadła jakaś uchwała magistratu warszawskiego, dotycząca muzyków tego miasta.

W wielu też innych miastach naszych bractwa muzyczne istniały, lecz nie jest celem artykułu niniejszego wyliczanie ich wszystkich.

Z początku bractwa muzyczne miały tylko na celu przyczynianie się do powiększania chwały Bożéj w świątyniach Pańskich. Lecz z postępem czasu zaczęto tworzyć towarzystwa muzyczne w celu uprawiania sztuki i krzewienia jéj w społeczności. Zbyt wiele czasu by wymagało wykazanie kolei, po których ludzie doszli ze skromnego zakresu pierwotnych bractw do potężnych obecnie stowarzyszeń muzycznych, tak wielką i ważną rolę grających w życiu społeczném zachodniéj Europy. Ograniczymy się tutaj na wymienieniu niektórych ważniejszych w Europie towarzystw muzycznych.

W Paryżu przed kilkudziesięciu laty, uczony i zasłużony profesor konserwatoryum tamecznego, Antoni Franciszek Habeneck, probował skłonić kolegów swoich do wykonania jednéj z symfonii Beethovena, do którego dzieł wszyscy czuli niechęć i odrazę. Zaledwo dokazawszy tego fortelem, pobudził grających do istnego zachwytu, a korzystając ze zjednoczenia i pogodzenia zdań i gustów, wezwał ich do zawiązania Towarzystwa muzycznego pod nazwą „Société des concerts" i sam dyrektorem jego został obranym. Towarzystwo to do tego stopnia słabo przez ogół początkowo było popieraném, że przez długi czas tylko sami artyści własnemi zasobami je podtrzymywali. Obecnie zaś bilety na koncerta jego wcale się nie sprzedają i członkowie towarzystwa dzieciom swym w spadku swe członkostwo przekazują. Towarzystwo to tak dalece przestrzegało czystość swych programów, iż żaden produkujący się na jego koncertach artysta nie miał prawa popisywać się ze swemi utworami, lecz musiał wykonywać tylko kompozycye uznane za arcydzieła. Warunku tego nie usunięto nawet dla samego Mendelssohna, który występując po raz pierwszy w koncercie tego towarzystwa, musiał grać „koncert" (G. tw.) Beethovena. Towarzystwo paryzkie działa zgodnie z tameczném konserwatoryum i w sali tego ostatniego swe koncerty urządza. Od lat dwudziestu kilku Habeneck już nie żyje, lecz duch przezeń w towarzystwo zaszczepio-

ny i tradycya po nim pozostała święcie się tam przechowują i nie dozwalają towarzystwu zejść z drogi właściwéj.

Lipskie towarzystwo muzyczne w „Gewandhauzie“ zawdzięcza swe ostateczne przekształcenie i świetność istnienia talentowi i pracy Feliksa Mendelssohna-Bartholdy, który był tém dla Lipska, czém Habeneck dla Paryża.

W Berlinie muzykę instrumentalną na większą skalę rozwinął także Mendelssohn. Teraz zaś bardzo świetne urządza tak zwane „Symphonie-concerten“ — Wilhelm Taubert.

W Londynie wykonywanie oratoryów Haendel utworzył. W późniejszym czasie Mendelssohn do ich rozwoju się przyłożył, a obecnie Costa godnie się tém zajmuje. Nadto w Londynie niejaki Ella, grywający na altówce w orkiestrze teatralnéj, założył towarzystwo pod nazwą: „Musical union,“ które stale urządza świetne poranki muzyczne w St. James Hall, wyłącznie w zakresie muzyki pokojowéj (musica di camera).

Petersburskie i moskiewskie twarzystwa muzyczne utworzyli przed laty kilkunastu bracia: Antoni i Mikołaj Rubinsteinowie, pierwszy w Petersburgu, drugi w Moskwie. Na pierwszym koncercie towarzystwa moskiewskiego zaledwie było około pięćdziesięciu słuchaczów. Obecnie liczy ono blizko 2,000 członków. Niedawno Antoni Rubinstein opuścił zupełnie Petersburg, lecz wątpić nie wypada, że kierunek przezeń nadany na zawsze w towarzystwie tameczném pozostanie i tradycye przezeń zaszczepione święcie się tam przechowają.

Zanadtośmy się może obszernie rozwiedli nad wyliczaniem towarzystw rozmaitych, a jeszcze mnóstwośmy mniéj ważnych pominęli. Chcieliśmy tylko wskazać czytelnikom, że wpływ zbawienny na wszystkie te towarzystwa wywierany pochodził od stojących na czele geniuszów, albo ludzi z ogromnym talentem, rozległą wiedzą i żelazną wolą, a nigdy nie usuwających z przed oka celu sztuki dla zajęcia się celem prywatnym.

Zapatrzywszy się na tak piękne przykłady i na błogie ich skutki, grono artystów i miłośników muzyki założyło w przeszłym roku Towarzystwo muzyczne w Warszawie. O kolejach tworzenia się tego towarzystwa i o działalności jego początkowéj mówić tu nie będziemy, gdyż wszystkim czytelnikom dobrze one są znane.

Przed kilku tygodniami Towarzystwo to skończyło pierwszy rok istnienia swego, a w dniu 25 Lutego odbyło się doroczne posiedzenie ogólnego zgromadzenia. Że zaś w przeddzień posiedzenia tego wydrukowaném zostało sprawozdanie Komitetu Towarzystwa z roku ubiegłego, więc chcemy tu poczynić niektóre uwagi nad działalnością Towarzystwa, o ile ta wydaje się nam dodatnią lub ujemną. Zastrzegamy wszakże z góry, że kwestyi administracyjnych bardzo pobieżnie dotykać będziemy, a przedewszystkiém zwrócimy uwagę, na kwestyą saméj sztuki. Od zastanowiania się nad pierwszą z tych kwestyi uwalnia nas i to, że inne pisma nas już w tém uprzedziły.

Dwa razy już w Towarzystwie odbyło się ogólne głosowanie na członków komitetu i oba razy odbyło się niewłaściwie. Przed wyborami każdemi powinni być koniecznie stawieni kandydaci, z których dopiéro głosujący wybierać powinni. Inaczéj bowiem głosy się w rozmaite strony rozstrzeliwają i bynajmniéj nie są wyrazem wymagań ogółu. Kiedy w roku przeszłym 307 członków głosowało, to ten tylko wybranym większością głosów mógłby się nazwać, kto miał nie mniéj jak 154 głosów za sobą. Z tego punktu się zapatrując z dwunastu członków komitetu w roku przeszłym wybranych, tylko pięciu miało większość głosów za sobą. Pozostałych zaś siedmiu wybrano *mniejszością* głosów, gdyż każdy z nich mniéj niż 154 affirmatywy otrzymał. Ale wspominamy tu o affirmatywach, kiedy ich wcale na wyborach Towarzystwa nie bywa. Bo affirmatywy wtedy tylko takiemi nazywać się mogą, kiedy stoją obok negatyw. Lecz tym ostatnim Towarzystwo wcale istnienia odmawia, nie bacząc na to, że one są nie mniéj od affirmatyw ważnemi i pożądanemi przy wyborach czynnikami, a nadto cała siła i doniosłość affirmatyw wypływa z przewagi, jaką one odniosą nad negatywami. Przewaga zaś ta uzyskać się może tylko przez zestawienie ich z sobą. Na wszystkich dobrze uorganizowanych wyborach taki porządek się zachowuje, jakiśmy wskazali. I Towarzystwo bardzo niewłaściwie postąpiło, dwukrotnie ten porządek zaniedbując, gdyż tym sposobem samo swe głosowanie unieważniło. Wielce pożądaną byłoby rzeczą żeby więcéj takie wybory się nie powtarzały.

Obieranie prezydującego posiedzeniu powinno się też odbywać nie inaczéj jak przez głosowanie. Prawda, że proponowany przez nas sposób wyborów daleko więcéj czasu wymaga i w jednym dniu skończyć się nie może, ale trzeba tak robić jak jest lepiéj, a nie jak łatwiéj.

Pomijamy zarzuty jakie uczynićbyśmy komitetowi mogli za niespełnienie myśli 26 artykułu Ustawy, wyraźnie mówiącego że „wnioski przez pięciu członków na piśmie podane należą do atrybucyi Zebrania Ogólnego“, — gdy na ostatniém zebraniu wniosek przez jedenastu członków podpisany nie był dyskussyi poddany i komitet sam go arbitralnie rozstrzygnął.

Niechcemy też napastować za zbyt szczodre a niczém usprawiedliwić się nie dające uposażanie Dyrektora muzycznego przez podniesienie gaży jego z 600 na 1,000 rubli; równie też jak za wydrukowanie sprawozdania na kilkanaście godzin przed ogólném zebraniem.

Nie robimy uwag nad zbyt ogólnemi cyframi w sprawozdaniu podanemi, ani nad nieprawidłowością sformowania budżetu, — tém bardziéj zaś nad błogiém zadowoleniem komitetu ze swych czynności w sprawozdaniu wyrażoném.

O tém wszystkiém przemilczamy, bo nam śpieszno przystąpić do kwestyj saméj sztuki dotyczących.

Każde z towarzystw muzycznych zagranicznych, któreśmy wyżéj wymienili, obrało sobie jakiś jeden rodzaj, jednę gałąź i tę z sumiennością uprawiało. Jedno z nich poświęciło się wyłącznie muzyce orkiestrowéj, drugie pokojowéj, inne wokalnéj, tamte znów wykonywało same tylko oratorya, niektóre zaś łączyły po dwa lub trzy rodzaje, lecz żadne się nie odważyło porwać się na wszystkie. A zwróćmy na to jeszcze uwagę, że tam towarzystwom przewodniczyli to muzycy genialni, to zresztą pierwszorzędne talenty, a wszyscy w głęboką a gruntowną wiedzę uzbrojeni. Warszawskie zaś Towarzystwo jednym zamachem objąć zapragnęło wszystkie rodzaje muzyki, a nawet zastrzegło sobie możność utworzenia szkoły. Słowem nie cofnęło się przed tém, przed czém się ulękły takie umysły jak Mendelssohn, Weberą, Wagnera, Liszta i innych. Czy nie w tym to bezbrzeżnym programie działalności zawiera się poczęści zawada tamująca postęp sztuki? Czy nie należałoby trochę ścieśnić, ograniczyć pole swéj działalności i czy jakość nie wygrałaby na zmniejszeniu ilości?

Towarzystwo muzyczne Warszawskie od pierwszéj chwili swego istnienia tak silnego doświadczyło poparcia od ogółu, a z téj przyczyny tak wielkiemi środkami materyalnemi rozporządza, że żadne z wymienionych wyżéj towarzystw niczém podobném w początkach swoich pochlubić się nie mogło. Lecz też nawzajem żadne z tamtych tak oszczędnie jak nasze sztuki nie popierało.

Koncerty Towarzystwa żadnéj barwy wybitnéj nie mają i ani do kształcenia smaku ani do popierania talentów zgoła się nie przyczyniają, zamykając się w ciasném kółku popisów osobistości. Usłyszenie Reineckego lub Bülowa nie jest wcale do pogardzenia, lecz moglibyśmy obu ich usłyszeć i bez Towarzystwa Muzycznego; wcale też mu tego za zasługę nie poczytujemy. Towarzystwa celem być powinno jak najobszerniejsze eksploatowanie zasobów miejscowych i wydobywanie z nich możliwych plonów.

Programy koncertów Towarzystwa zwykle bywają źle obmyślane. Łączenie chórów z muzyką pokojową (kwartety, tercety i t. p.) nie dowodzi bynajmniéj artystycznego na sztukę poglądu. Jestto rozwieszenie olbrzymich obrazów pomiędzy rysunkami miniaturowemi, za pomocą lupy wykonywanemi. I tym ostatnim miejsca pomiędzy dziełami sztuki się nie odmawia, lecz właściwe miejsce mieć powinny. Przybytek zaś sztuki, za jaki salę Towarzystwa uważamy, nie powinien być bazarem, w którym wszystko na kupę się zrzuca. Już to w ogóle muzyka pokojowa (di camera) nie jest stosowną do sal redutowych. Wkroczenie jéj do nich mogłoby chyba być okupionem wielką doskonałością wykonania (np. kwartet braci Müllerów), lecz na tak hojny okup towarzystwo jeszcze zdobyć się nie jest w stanie.

Co się tyczy wielkich koncertów orkiestrowych,—które dla saméj formy swojéj, nietylko prawo istnienia posiadają, lecz nawet nader są pożądanemi, bo nie przyczyniają się do tworzenia niewłaściwego kontrastu powstającego z połączenia orkiestry lub chóru z muzyką pokojową, to wypadałoby Warszawę zaznajomić z muzyką symfoniczną wysokiego nastroju w pięknie zbudowanym programie. Program ten nie powinien być takim jakiśmy spotykali u Bilsego, gdzieśmy słyszeli symfonie wykonywane pomiędzy walcem Straussa, czardaszem Grossmana lub potpourri Conradiego. Ale też i nie takie kompozycye w nim spotykać pragniemy jak „Walc-symphonie“ Raffa, „Donkiszot“ Rubinsteina, lub „Marsze“ z arcy huczną instrumentacyą Liszta.

Wysoko wykształcone muzycznie Niemcy mogą bez niebezpieczeństwa słuchać tych wybryków i sofizmatów muzycznych, lecz początkującéj Warszawie rozpoczynać kształcenie się na takich wzorach nie wypada. Wolno a nawet należy studentowi uniwersytetu znać dzieła Renana, Straussa, Feuerbacha, lecz nikt uczniowi początkowych klas gimnazyum w rękę ich nie daje.

Zapatrując się z wyższego na sztukę stanowiska chóry tylko w wielkich koncertach Towarzystwa produkować się powinny, lecz nigdy w małych, gdzieby z nieodpowiedniemi sobie rodzajami sąsiadować musiały.

Nie mamy nic przeciwko temu, żeby Towarzystwo sprowadzało z za granicy artystów pierwszorzędnych do uczestniczenia w jego koncertach. Spodziewamy się że przyjemność ta nie zbyt wielki uszczerbek kassie Towarzystwa wyrządza, chociaż zgoła nie wiemy jaka ją cyfra reprezentuje, bo pozycyi téj w sprawozdaniu wcale nie znajdujemy. Lecz ujmę to czyni Towarzystwu, kiedy, choćby dla usłyszenia tak pięknéj gry jak Bülowa, pozbawia publiczność słyszenia wspaniałéj muzyki orkiestrowéj; równie jak

na koncercie, w którym Reinecke uczestniczył, zapełnia większą część programu kompozycyami samego Reineckego. Bo w takim razie oba te koncerty nie były koncertami Towarzystwa, lecz Reineckego i Bülowa. Może chyba na koncercie Reineckego Towarzystwo pokazać chciało publiczności jacy to bywają dyrektorowie.

Towarzystwo koniecznie własną orkiestrę posiadać powinno. Osiągnienie tego nie jest rzeczą niepodobną ani nawet zbyt trudną. Komitet, a głównie Dyrektor muzyczny oddawna już o to starać się był powinien. Chętnie i zacnie rzecz pojmujący niektórzy członkowie z własnego popędu i z wysiłkiem sił pojedyńczych czynią obecnie starania około utworzenia stałéj dla Towarzystwa orkiestry i wkrótce zamierzają towarzystwu złożyć tę ofiarę. Fakt ten jest nie mniéj pocieszającym jak równie zadziwiającym, że inicyatywa téj myśli nie w łonie komitetu, lecz w gronie prywatnych członków się poczęła.

Towarzystwo muzyczne jest dla nas potrzebném i bardzo pożądaném. Pierwsze kroki zwykle trudnemi i często mylnemi bywają. Lecz wszelkie błędy są do przebaczenia, jeżeli błądzący porzuca mylną drogę a na właściwą wejść usiłuje. Tylko uporczywe trzymanie się błędnéj drogi na zarzut o złą wolę lub cele osobiste naraża. O to bynajmniéj Towarzystwa Muzycznego nie posądzamy i tuszymy, że widząc z jaką wiarą i otuchą publiczność się doń garnie, oraz jak wielka odpowiedzialność na niém cięży, usunie dawne błędy i usterki, zreformuje swą Ustawę, co jest naglącą potrzebą a do czego jéj artykuł 30 upoważnia i wejdzie na tor właściwy, po którym krocząc znakomite może oddać społeczeństwu przysługi.

Wypowiedzieliśmy tu wszystko co nam sumienie kazało i uczyniliśmy to tém śmieléj, że zdanie nasze znaczna ilość członków Towarzystwa podziela.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Z estetyki i z życia, p. Władysława Łozińskiego. Lwów 1872 r.

Dziełko pana Ł. powstało z odczytów jego miewanych dla kobiet na zaproszenie lwowskiego Towarzystwa Pedagogicznego. Prelegent obrał za przedmiot rozmaite objawy estetyczne w życiu samém, rozmaite źródła wrażeń pięknych i uszlachetniających. Zamierzył on dać krytykę form społecznych i towarzyskich pod względem estetycznym, i przykładami wskazać sposoby, któremiby można pielęgnować w życiu powszedniém zmysł piękna i zaspokoić wyższe wymagania umysłu. Głównie autor miał wzgląd na płeć niewieścią, któréj zadaniem pozostanie zawsze pielęgnowanie idealniejszych stron życia.

Niesłusznie pan Łoziński nazywa skromném założenie, o którém mówi w rozdziale wstępnym. Wskazanie stosunku zachodzącego w danéj epoce pomiędzy ideałami i bytem realnym ludów, wyjaśnienie oddziaływania literatury i sztuki na formy społeczne i towarzyskie ludu— i odwrotnie, — zadanie to nielatwe.... Dla tego też z niedowierzaniem pewném spojrzeliśmy na książkę mającą w ośmiu rozdziałach zawrzeć *estetykę społeczną*, traktować o *pięknie historyczném*, o odbiciu się pojęć estetycznych w życiu narodów, o formach piękna wcielonych w dziejach, w życiu społecznem i towarzyskiém. Nieufność nasza była tém większa, że autor obiecuje we wstępie nie ograniczać się na przeszłości, ale zwracać się także ku współczesnemu życiu, ku teraźniejszym stosunkom i formom.

I rzeczywiście zadanie autora okazało się wyższém n d siły jego. Świetne obietnice zawiodły.

Pan Ł. popełnił najważniéjszy błąd przez niewyjaśnienie tak sobie jak czytelnikom istoty piękna. Prawda, dobro i piękno—są to trzy modły właściwe naszemu duchowi i posługujące mu do wytwarzania wiedzy, czynów i sztuki. Syntezą powyższych objawów jest życie. Wiekuista tęsknota do ideału, to jest do harmonijnego stosunku pomiędzy ową normą wewnętrzną a rzeczywistością, pomiędzy duchem i bytem, stanowi istotę piękna. Dla tego to piękno jest zarazem prawdą i dobrem; dla tego to mówimy: piękna myśl, piękne słowo, piękny czyn, dobre dzieło, dobry styl, prawdziwa poezya i t. d. Matematyk, astronom powie „piękna formuła“ — i słusznie.... Pomyślmy czém może być formuła matematyczna w oczach Laplace'a lub Herszla!.... Tak więc piękno ma swoja stronę etyczną i rozumową, jak prawda i dobro mają estetyczną. Zadaniem tegoczesnéj sztuki i życia jest utrzymanie ściśléj łączności pomiędzy trzema zasadniczemi ich żywiołami.... Dla tego to dzisiaj więcéj niż kiedy razi nas nieudatna forma posługująca myśli pięknéj, i odwrotnie—płytka lub niemoralna myśl osłaniająca się nadobną formą. A że wszystkie warunki piękna rzadko zdarzają się w połączeniu, więc nie dziw, że poezya, sztuka i całe życie XIX wieku wydają się synom jego nie bardzo estetycznemi. Niezadowolenie to wzrastać będzie bez przerwy jednocześnie z rozwojem ludzkości.

Tak więc szanowny autor, mówiąc o stosunku zachodzącym pomiędzy ideałami i formami realnego bytu, pomiędzy poezyą i życiem, nie powinien był pomijać estetycznéj strony piękna.... Zaprawdę więcéjby z tego czytelniczki wyniosły korzyści, niż z krótkich wzmianek o salonach pani Dudeffand lub panny Lespinasse, albo z uwag nad modą i tańcem tegoczesnym. Rycerskość charakterów, szlachetna podniosłość uczuć, piękne słowa, bohaterskie czyny, szczytna śmierć — to również materyał do estetyki społecznéj, marmur i spiż historycznego piękna. Pan Ł. skarbów tych ani dotknął.

Autor, zawsze jeszcze we wstępie, narzeka na niezgodę pomiędzy estetyką i postępem cywilizacyi. Jak wiele prawd w zakresie moralności i wiedzy, tak i uczucie piękna w istocie swojéj jest nader subiektywne i względne. Każdy wiek, każdy naród ma swoje ideały. Piękno Sofoklesa niepodobne do piękna Byrona. Na téj zasadzie zaprzeczamy myśli autora: „że wiek nasz, jeżeli się nań zapatrywać będziemy ze stanowiska estetycznego, jeśli w nim szukać będziem form pięknych w życiu publiczném i społeczném, stoi daleko niżéj od wieków poprzednich, od czasów średniowiecznych, nie mówiąc już o starożytności.“ Autor wylicza przyczyny tego ubóztwa form estetycznych: kosmopolityczny kierunek, mechanizm państwowy, charakter nowoczesnéj wojny, brak oryginalnych typów, oziębłość i wyrachowanie, machiny, koleje żelazne, obyczaje, strój, upadek okazałość[illegible]oczystych obchodów i t. d... Twierdzenia swoje autor popiera porównaniami... Niegdyś np. walki rozstrzygały się rycerskiém męztwem wojowników... rycerz zwierał się z rycerzem.... tryumf wojska dzielił się pomiędzy wszystkich szermierzy.... Wojna była pełna poetycznéj grozy i estetycznego uroku... Dzisiaj armia stała się cyfrą, żołnierz automatem.... Osobistą waleczność zastąpiły mordercze, ohydne machiny.... Krocie giną od niewidomego pocisku.... Massą zbrojną porusza jeden człowiek.... Na coby się zdało lwie serce Baiarda w obec iglicówki?!.. i t. d. Poetyczne fantazyowanie na temat wojny ciągnie się przez cztery stronice. W podobny sposób autor wychwala rozmaitość i barwność dawniejszych towarzyskich stosunków, okazałość obrzędów, oryginalną awanturniczość rozmaitych postaci, świetność ubiorów i t. d... Kozak Malczewskiego piękniejszy jest, podług autora, od lokomotywy; goniec maratoński od telegrafu.

Pozornie autor ma słuszność — ale tylko pozornie. Wszystko, co podnosi uczucie, co rodzi zapał, co rozbudza tysiące myśli — wszystko to jest pięknem w mierze odpowiedniéj potędze wrażeń, które powstają w duchu naszym. Piękno dzisiejsze nie skupia się jak dawniéj w szczegółach i drobiazgach, ale uderza właśnie olbrzymim wyrazem zbiorowym i siłą oddziaływania na dusze. Jeżeli autor upatruje estetyczne piękno w morderczych walkach, to w czémże ma być piękniejszą bitwa pod Azincourt, od bitwy pod Sadową lub Wissemburgiem? Czy kolumny idące spokojnie w ogień lub trzymające się jak lud posągów pod ulewą kul i kartaczów, nie więcéj budzą podziwienia niż walka Ajaksa z Hektorem poprzedzona połajanką siarczystą?... Czy pożar Troi ma więcéj grozy od łun Sebastopola albo Paryża?... Lecz dajmy wojnie pokój. Oziębłość dzisiejszych form towarzyskich jeszcze bardziéj potęguje w oczach poety dramata psychiczne. Jest to jak gdyby czarna oprawa nocy w około wulkanicznych płomieni. A ubiór?.. Czy pomimo fraka Wertera albo Konrada, postaci te nie są milion razy poetyczniejsze od średniowiecznego paladyna?... Co do *awanturniczości*, że użyjemy tu wyrazu autora, postawmy obok Dzierżanowskiego Franklina, obok Beniowskiego Liwingstona, obok Cagliostra Lessepsa. Jaskrawe formy jak w życiu tak i w poezyi podobają się tylko dzieciom. Nowoczesne piękno, stając się coraz bardziéj poważném, potężnieje. Kiedy wykształconemu człowiekowi przyjdzie na myśl materyalna i cywilizacyjna potęga pary, z pewnością Kozak Malczewskiego, pędzący obok lokomotywy na koniu, wyda mu się nader niepoetycznym.

Po wszystkiém co powiedziano wyżéj, śmiało możemy twierdzić wbrew panu Ł., że świat nasz, chociażbyśmy nań spoglądali wyłącznie okiem artysty, a nie ze stanowiska postępu i cywilizacyi (co zresztą jest niepodobieństwem, gdyż każdy artysta jest dzieckiem swojego wieku), wyda się zawsze niemniéj estetycznym od świata średniowiecznego. Ten tylko, kto nie zdolny jest przejąć się ideą czasu, prądami myśli i natchnień jego, odczuć w sercu własném zbiorowych jego porywów, — ten tylko powtórzy za Visherem sąd potępiający brudną bezbarwność, estetyczne ubóztwo i płaski ruch towarzyski naszego wieku. Dla artysty obdarzonego tak słabém jasnowidzeniem, i przeszłość pozbawiona będzie prawdziwéj poezyi swojéj, lecz przedstawi się jako malowidło jaskrawe, bawiące żywemi kolorami i złotem, lecz nie przemawiające, ani do umysłu, ani do serca. Szczęściem autor nie bezwarunkowo potępia czasy dzisiejsze, nazywa je bowiem czasami przejścia, a jako przejściowe „usuwają się one z pod bezwzględnego ocenienia i nie nastręczają nam tak jak wieki ubiegłe skończonego, zamkniętego horyzontu“. Życzenie jednak autora, aby na dumném i zamyślonem czole cywilizacyi zajaśniała wiosenna pogoda dziecięcia, co się uśmiecha do

wonnego kielicha polnego kwiatka i drobnemi rączętami chwyta za promienie słoneczne,— życzenie to jest *pium desiderium* tylko.

Następnie autor przechodzi do życia towarzyskiego, a raczéj do *konwersacyi salonowéj*, jako do źródła podnioślejszych, żywszych i estetycznych wrażeń. Tu znowu czytelnikowi przychodzi na myśl, że podwoje większe od gmachu: bo czyż podobna estetyczne piękno społecznych i towarzyskich form zamykać wyłącznie w salonie?... A jednak tak się stało.

Po nader pobieżnéj wzmiance o dawnych dworach polskich i różnobarwném ich życiu, którego obrazów autor poleca szukać w Górnickim, Pasku, Kitowiczu, Rzewuskim, Szajnosze i Polu, znajdujemy w książce pana Ł. zdania o konwersacyi panny de Scudery, Pellison'a, Larochefoucauld, Labruyere'a, Pascal'a, Rousseau pani de Staël. Bardzo to rzeczy dobre, ale znajome i w tysiącach maksym zdawkowych obiegające świat. Najdowcipniejszą na dobie wydała się nam rada Larochefoucaulda: „Nie używajmy słów większych od saméj rzeczy.“ Przytoczone pod względem konwersacyi uwagi Górnickiego, dobrane szczęśliwie. Za to mowa Ołtarzewskiego (z pamiętników Paska) przy złożeniu pannie Teressie drewnianych trzewików, wygląda na parodyę, i nie wiemy co z estetyką wspólnego mieć może.

Dwa następne rozdziały poświęcone są salonom francuzkim i niemieckim. Są to niewiele nauczające opisy, bez głębszéj charakterystyki i związku z umysłowém i towarzyskiém życiem społeczeństw. Mignęły tu przed nami z salonów francuzkich: Hotel Rambouillet, Soboty panny de Scudery, salony pani de Lambert, pani de Geoffrin, pani Dudeffand, panny Lespinasse, pani Necker, pani de Staël i pani Récamier; z niemieckich zaś Henryetty Herz i Racheli Lewin.

Autor urozmaica opisy swoje anegdotami, np. o pobycie Stanisława Augusta u pani de Geoffrin, o odwiedzinach Kościuszki u p. de Staël, o stosunkach przyjaznych Goethego z panią Maryą Szymanowską i t. d. Opowiadania te są dość zajmujące, lecz razi nas zbytnie uwydatnienie przedmiotów ubocznych z poświęceniem dla anegdoty treści głównéj. W ogólności cały ustęp o salonach wiele pozostawia do życzenia. Szkoda, że autor nie roszerzył się nad mniéj znaném towarzystwu naszemu życiém berlińskiém z pierwszych lat bieżącego wieku. Postaci takie jak Henryetta Herz i Rachel Varnhagen zasługiwały na mniéj powierzchowną charakterystykę. Materyał do niéj mógłby autor znaleźć w *Révue des deux Mondes* za rok zaprzeszły.

Epoka Sasów i Stanisława Augusta dostarczyła autorowi wiele rysów ujemno - estetycznych. Czasy te najlepiéj dowodzą, że miara zasadą jest piękna. Podług autora, jedynie harmonijna pogoda i wesołość szlachetna, środkujące pomiędzy pedantyzmem i wyuzdaną swawolą, mogą być uważane jako estetyczny moment piękna. Epoka ta, stojąca na zrębie dwóch wieków, ożywiona walką dwóch kierunków, staropolskiego i cudzoziemskiego, jest bogatém źródłem wszystkich barw i wszystkich kształtów społecznych. Skorzystał z tego Soplica.

W ogólności poprzedni rozdział i opis Puław wydały się nam najlepszemi. Życie puławskie autor skreślił z zamiłowaniem, posiłkując się pismami Koźmiana, Siemieńskiego i innych.



POŁUDNIE (94).
Rzeźba professora Schillinga z Drezna, (patrz opis Nr. 9).

W ostatnim rozdziale znajdujemy uwagi o estetycznych potrzebach naszego otoczenia, o zdobieniu mieszkań pięknemi utworami sztuki, o pięknym smaku w ubiorze, o rozrywkach i zajęciach jako źródłach estetycznych wrażeń, o tańcu, o dylletantyzmie artystycznym i t. d. Są to rzeczy ogólnie wiadome, i dla tego zastanawiać się nad niemi nie widzimy potrzeby. Jest tu wiele rad zdrowych i dobrze wypowiedzianych.

Trochę zawiłą wydała się nam teorya estetyczna, którą autor wieńczy swą pracę: „Pod czterema rozmaitemi względami przemawiać do nas mogą wszystkie rzeczy. Przemawiają one do naszych *zmysłów*, i wtedy przedstawiają się nam ze swéj strony *fizycznéj*, albo przemawiają do naszego *rozumu*, i wtedy przedstawiają się ze swéj strony *logicznéj*, albo przemawiają do naszéj *woli* i wtenczas przedstawiają się ze swéj strony *moralnéj*, albo w końcu przemawiają do całości wszystkich tych sił razem, żadnéj się z osobna nie narzucając, i wtedy przedstawiają się nam z swéj strony *estetycznéj*.“

Wolelibyśmy dawne kategorye prawdy, dobra i piękna, odniesione do myśli, uczucia i wyobraźni, zastrzegając, że zgoda i współistność téj trójcy jest niezbędnym warunkiem estetycznego życia.

Szczęśliwiéj choć niefilozoficznie charakteryzuje Szyller stosunek rozmaitych czynników naszego ducha: „Dzikim umysłom stanowi bezpośrednio prawa *namiętność* — i słuchają one tylko tego, co im zmysły dyktują. Moralnym umysłom stanowi bezpośrednio prawa *rozsądek*, a od złych pokus wstrzymuje je obowiązek. W estetycznie zaś wykształconych duszach jest jeszcze jedna instancya, która cnotę, tam gdzie jéj nie ma, często zastępuje, a tam gdzie jest, ułatwia. Instancyą tą jest *smak estetyczny*.... On to wymaga umiarkowania i przyzwoitości, nie cierpi niczego co jest twardém, ostrém, gwałtownem, a dąży ku temu co w lekką spływa harmonię.... Smak estetyczny usposabia umysł nasz do cnoty, tłumiąc te popędy, które jéj przeszkadzają, a budząc te które jéj są przychylne.“

W ogóle dziełko pana Ł. nie odznacza się ani nowością poglądów, ani bogactwem treści, ani posilnością nauki... Z przyjemnością jednak odczytać je można, dzięki potoczystości stylu i ognistemu słowu. Często jednak styl autora staje się zamaszystym i nieodpowiednim treści poważnéj. Nieraz zauważyliśmy, że p. Ł. szafuje wyrazami: *szalony* (w znaczeniu przymiotników: rozumny, znakomity, piękny), *fatalny*, *niesłychany* i t. d. Nie zawadziłoby w tym względzie większe umiarkowanie. Nadto można się spotkać w książce pana Łozińskiego z wadliwemi formami: *pojmywać*, *zajmywał* (zamiast pojmować, zajmował), i z takiemi zwrotami jak: „inni goście *nuż* poczną mówić do siebie samemi madrygałami...“ *Nuż* nie zrozumieją w Warszawie tego *nuż*?!...

L. Sowiński.

KORESPONDENCYA.

(*Dokończenie. Ob. Nr. 19.*)

Florencya, d. 15 Lutego 1872 r.

Taki robi na nas effekt dzisiejsza poezya, być może skutkiem tego, że rozpieszczony i wydelikatniały smak rozkoszami wzniosłych myśli i uczuć, do jakich się przyzwyczaja rozpoczynając zawód w tutejszéj literaturze (każdy bowiem poczytuje sobie za obowiązek zapoznać się najpierw

z Dantem, Tassem, Aryostem, Petrarką — a dopiero potem bez wyboru studyuje klasyczne i nie klasyczne utwory literatury italskiéj) z trudnością oswaja się z ciężkim i pospolitym pokarmem poziomych, a często nawet i trywialnych utworów, i chociaż takowe w braku lepszéj strawy *bon gré mal gré* pożywać musi zawsze jednak wstręt czuje do nich. I rzeczywiście, trzeba mieć smak bardzo zepsuty, a raczéj trzeba się wyzuć ze wszystkich szlachetnych uczuć i pojęć wyższych, aby po przeczytaniu *Bozkiéj Komedyi* znaleźć jaką satysfakcyę w dzisiejszych socyalno-politycznych receptach i opryskliwych satyrach, aby *Orlanda* zastąpić teraźniejszymi bohaterami dnia, którymi nawet złoczyńcy lub rozbójnicy być mogą, aby współczesne nasze boginie *du demi-monde* przełożyć nad *Laurę* Petrarki, *Franciszkę da Rimini*, a jeszcze lepiéj *Beatrycę Danta*, aby wreszcie *Jerozolimę Wyzwoloną*, tę epopeę całego chrześcianizmu, całéj oświaty i cywilizacyi postawić na równi z utworami tak zwanéj narodowo - patryotycznéj treści, nie przechodzącemi prawie chwilowego wrażenia, powagi i namiętności przejściowéj. Nic więc dziwnego, że tłómaczenie p. Hektora Marcucciego niektórych utworów naszego lirnika Lenartowicza, ogłoszone tutaj w Październiku roku zeszłego, aczkolwiek o wiele słabsze i niższe od oryginału, zrobiło tu na włoskich czytelnikach wielkie wrażenie, i szczerze wyznają, że ich krajowi poeci w porównaniu do Teofila Lenartowicza wydają się im jako ludzie bez serca, uczucia a nawet bez kości, na wzór bowiem morskich mięczaków prześlizgują się cicho i niespostrzeżenie wśród tutejszego społeczeństwa, żądnego silnych wrażeń, wzniosłości i polotu myśli, natężenia i żywości uczuć. Elegancki tomik (str. XXI i 173 in 12) p. Marcuccego obejmuje następujące utwory naszego wieszcza: *Kampania Rzymska*, *Zachód Słońca*, *Schody przepaści*, *Pożegnanie*, *Poeci w Kolosseum*, *Łuk Tytusa*, *Quovadis?* *Kopuła S. Piotra*, *Na stulecie Dantego*, *Początek Sztuk*, *Dusza sieroty*, *Poeta i jego wierna kochanka*, *Cyganka*, *Branka* składająca się z 7 pieśni i epilogu, i *Trzy Siostry*. W przedmowie tłómacz zapowiada nową publikacyę o 500 przynajmniéj stronicach p. t. *Spartakus*, jeżeli ogłoszona jego praca zostanie życzliwie przyjęta przez publiczność.

Upadek poezyi tutejszéj nie w stosunku do innych narodów, lecz do tego czem Italia była w średnich wiekach, a nawet w czasach późniejszych może nie tyle należy przypisać brakowi zdolności i dobrych chęci, ile, że tak powiem, afrykańskiemu *sirocco*, to jest téj dusznej atmosferze, jaka od lat kilkudziesięciu gniotła piersi tutejszych wieszczów i nieustannie dymem pożogi, tumanami prochu i krwi bratniéj parą tamowała im wszelki swobodniejszy oddech. W innych krajach okoliczności podobne stworzyłyby i wyrobiły cały szereg wieszczów stojących na wysokości wymagań i potrzeb chwili, w Italii przeciwnie skarłowaciały owo z natury żywe, wrażliwe i egzaltujące się uczucie włoskie. Proces ten w psychologicznym nastroju italskich poetow łatwo się tłomaczy charakterem narodowym, który dobrowolnie i chętnie przejmuje i zachwyca się wszelkimi wzniosłymi i wielkimi wypadkami i charakterami, z całem uznaniem apoteozuje i gloryą swéj czci otacza bohaterów, ale aby mógł uledz prawdziwie poetycznym wrażeniom, aby mógł rozentuzyazmować się jakimś wypadkiem, osobą etc., aby mógł wreszcie podnieść, wypieścić, i w piękną grecką formę ująć swe natchnienie, potrzebuje spokoju, wypoczynku, błogości, żąda dłuższéj i swobodniéj kontemplacyi i ekstazy uczuciowéj. Udział w wielkich wypadkach, poezya i wpływ silnych wrażeń realnie doświadczonych, rozstraja i rozprasza umysł i uczucie Włocha—przeciwnie spokojne rozważanie i zastanawianie się nad wielkością przeszłości, jednem słowem wszelkie wrażenia bardziéj duchowo, umysłowo i często teoretycznie odbierane nastrajają jego uczucia, rozbudzają i roznamiętniają jego wyobraźnię, usposobiają i niejako popychają do tworzenia pięknych obrazów, do uszlachetnienia swych uczuć i do wznoszenia swéj myśli w coraz to wyższe krainy ducha.



Widok miasta Astrachanu. (95).

Przechodzimy wreszcie do ostatniéj części naszego listu, którą *belletrystyce włoskiéj* poświęcić postanowiliśmy. Najpierw oświadczyć musimy, że w tutejszéj literaturze całkiem nie znamy *powieści obyczajowéj*, tak wysoko rozwiniętéj u nas, a cała tutejsza belletrystyka redukuje się do romansu historycznego.

Po małych wprawdzie dziennikach i pisemkach literackich ukazują się tak zwane *nowelle*, lecz takowe są raczéj ćwiczeniami niemoralnego gimnazisty, aniżeli jakimś udatnym płodem literackim, Autorowie podobnych utworów, mając głównie na celu wykład socyalnych lub politycznych teoryj, a bardziéj jeszcze indywidualnych hallucynacyj, lub też uświęcenie zasad i czynów, które dotąd nietylko w świecie moralnym, ale nawet przyzwoitym i dobrze wychowanym prawa obywatelstwa zdobyć sobie nie mogły, obierają za zwyczaj formę powieściopisarską, i tam dla konweniencyi wprowadziwszy bez myśli i ładu kilka osób, gubią się w drapowaniu swych bohaterów i w pstrzeniu sztucznemi kwiaty miejsc ich pobytu. Słowem ze wszech stron naganny *poldekokizm* znalazł we Włoszech licznych naśladowników, którzy zamiast poprawić usterki swego mistrza, a w ostatnim razie starać się o wyrównanie mu, położyli sobie za cel sparodyować go i obedrzeć ze wszelkiego powabu, uroku i wdzięku, jakie mógł on wywierać na niedoświadczonych lub też lubujących się w skandalach czytelników. Nic więc dziwnego, że w braku rodzinnéj powieści obyczajowéj, publiczność szuka pokarmu w zagranicznéj literaturze. Dla tego też na wszystkie strony, w różnych kształtach, formatach, edycyach zbytkowych i skromnych, z illustracyami i bez nich, przedrukowują znane wam powieści Kock'a, Walter - Skott'a, Dumas'a, Dickens'a, Disraelyego etc.; felietony zaś dzienników politycznych, przepełnione są tłómaczeniami nowszych powieści niemieckich, angielskich i francuzkich. Niepomyślny stan tego rodzaju literatury przypisać należy rozwojowi życia teatralnego, a szczególniéj dziennikarstwa, które dla zyskania sobie popularności, z kroniki bieżącéj, przybrawszy ją w różne niepotrzebne kwiaty wymowy i ornamenta dowcipu, na temat Krasickiego „*na wątłym gruncie rozbujałe flukta*“ zrobiło, że tak powiem, codzienną współczesną *nowellę* jaka w każdym dzienniku jedną lub kilka nawet kolumn druku zajmuje, a tym sposobem absorbuje i zużywa znaczną część zdolnych pisarzy.

Jakkolwiek literaturze włoskiéj zbywa na powieści obyczajowéj, nie możemy jéj zaprzeczyć romansu, lecz przeciwnie musimy tu zanotować dość świetny stan powieści historycznéj, któréj tacy mistrze jak Aleksander Manzoni swemi *Zaręczonymi* (Promessi sposi) Maksym d'Azeglio zięć poprzedniego, autor *Hektora Fieramosco*, *Mikołaja Lapi*, i Franciszek Guetrazi swą *Beatricą Cenci*, *Izabellą Orsini*, *Oblężeniem Florencyi*, *Bitwą pod Benewentem* i t. p. utworzyli

szkołę czysto narodową, która pociągnęła za sobą ogół pisarzy.

Obfitość zawiłych i dramatycznych przez się wypadków, jakich podostatkiem dostarcza municypalna historya średniowiecznych Włoch, wrodzona łatwość południowych mieszkańców obrazowania wszystkiego, dopomagają do rozkwitu i wzrostu tego rodzaju belletrystycznéj literatury. Dość jest mieć nieco sprytu w układaniu w jedną harmonijną całość pojedynczych wypadków i głównych ich autorów, dość jest mieć trochę talentu w kopiowaniu pejzażowych effektów pierwszéj lepszéj miejscowości, a z każdéj niemal stronicy dawnych municypalnych kronik, a nawet pojedynczych rodzin będzie można stworzyć zajmującą powieść historyczną. Nic więc dziwnego, że wszystkie większe miasta, obfite w tragiczne wypadki z przeszłości, stały się kuźniami historycznych powieści, w których autorowie na gruncie czysto municypalnych intryg, czy też politycznych wypadków szybko wznoszą swe zaklęte i czarujące imaginacyę czytelnika przybytki— używając za cement do spojenia części składowych jednego i tegoż samego materyału, od dawna znanego wszystkim, dla jakiego w dykcyonarzu socyalno-familijnych stosunków, przyswojono w naszym języku miano jednéj z cnot teologicznych i nazwano go... *miłością*, termin nie zupełnie odpowiadający włoskiemu *amore*.

Od dawna już znane są w naszéj literaturze utwory mistrzów włoskich, mianowicie też Manzoniego i Azeglia, z tych więc czytelnicy mogą powziąć wyobrażenie o pierwowzorach powieści historycznéj; my zaś wkrótce postaramy się przyswoić z tejże saméj szkoły utwór drugorzędny pod tytułem: *Konradyn Szwabski* Piotra Saraceniego. Mówię *drugorzędny*, gdyż dotąd żaden z pisarzy obecnych nie stanął na wyżynie, jakiéj dosięgli Manzoni, Azeglio i Guerrazzi, i jeżeli dorównywają im w technice, w zręcznem zaintrygowaniu czytelnika akcyą powieści, o wiele są niżsi od nich w epickéj części, jędrności i piękności języka, lub na odwrót.

Na zakończenie naszego ogólnego poglądu na włoską literaturę, dodać winniśmy i to spostrzeżenie, że zbyt powolny rozwój poezyi i belletrystyki należy przypisać zaniedbanemu wychowaniu kobiet, które wtenczas gdy mężczyźni zajęci są polityką lub też oddają się studyom specyalnym, nic albo bardzo mało poświęcają się właściwéj im literaturze. Dla tego też powiedzieć można, że jak pozytywny kierunek mężczyzn wpływa na rozwój nauk przyrodzonych i wszystkich innych praktyczne korzyści przynoszących społeczeństwu lub indywiduom, tak znowu opuszczenie się płci pięknéj tamuje zwrót literatury belletrystycznéj, któréj ona jest naturalnym sprzymierzeńcem, opiekunem i protektorem *).

Od ogólnikowego przedstawienia przechodząc do szczegółów literatury włoskiéj, jakie specyalnie w późniejszych naszych listach traktować będziemy, na teraz ograniczyć się musimy na statystycznem tylko obliczeniu tutejszych publikacyj. Według obliczeń zarządu *Biblioteki Narodowéj* (dawniéj *Maglibecchiana*) największéj obecnie we Włoszech, która za pośrednictwem królewskich prokuratorów otrzymuje wszystkie publikacye całego Półwyspu Apenińskiego, liczba książek i broszur co rocznie wydawanych przechodzi 10,000, czyli przecięciowo wypada na miesiąc 900 publikacyj, z których mniej więcéj 400 zanotowanych jest w dwutygodniku „*Bibliografia Włoska*“ i znajduje się w handlu księgarskim, resztę zaś stanowią urzędowe sprawozdania, statystyczne wykazy, regulamina, i statuta pojedynczych instytucyj i t. d. Trzeba bowiem wiedzieć, że sprawozdania statystyczne do téj już doszły perfekcyi, że nietylko ministerstwa corocznie drukują grube foliały dla przedstawienia ich w parlamencie, senacie i rozesłania bibiotekom, archiwom rządowym, a także i redakcyom pierwszorzędnych dzienników politycznych, nietylko prefektury i rady prowincyonalne robią corocznie szczegółowe pod każdym względem wykazy stanu rzeczy w ich prowincyach, ale nawet małe obwody, to jest powiaty, municypia, pojedyncze instytucye jak szpitale, zakłady dobroczynne i naukowe, różne stowarzyszenia i t. d., ogłaszają drukiem w oddzielnych broszurach ich coroczne jak najdetaliczniejsze sprawozdania, ktore osobom interesowanym urzędownie przesyłają. W każdéj takiéj broszurze, lub często w dość grubym tomie, oprócz długich litanij cyfrowych znajduje się dobrze wystylizowany raport urzędu lub instytucyi ogłaszającéj sprawozdanie łącznie z tablicą porównawczą stanu obecnego ze stanem lat, miesięcy, dni ubiegłych i t. d., a niekiedy nawet i przedmowa wykazująca ważność, pożytek i konieczność téj statystyki, albo też zawierająca historyczny rys prowincyi lub instytucyi i oddająca pochwały ludziom zasłużonym. Słowem sprawozdania statystyczne można uważać za urzędowe kroniki prowincyj, miast i pojedynczych instytucyj.

Dziennikarstwo włoskie, nie wdając się w detale pojedynczych rubryk, jest wiernym obrazem stosownie do miejscowości gdzie wychodzi, tego ruchu statystycznego, z którego każdy czytający może się przekonać jak wielki postęp robią Włochy na drodze oświaty, instytucyj, przemysłu, handlu i dobrobytu narodowego. Wprost przeciwny temu statystycznemu ruchowi rezultat przedstawia w życiu literackiem poezya i belletrystyka, miejsce zaś pośrednie zajmują nauki ścisłe i przyrodzone. Po za tym punktem środkowym, prawo, ekonomia i różne społeczne nauki stanowią niejako przejście do *maximum* we włoskich publikacyach (to jest w stosunku do statystyki); filozofia zaś, historya i teologia przejście *do minimum* (to jest belletrystyki). O literaturze dramatycznéj na teraz zamilczam, gdyż ona będzie przedmiotem następnego listu.

*) Zdania szanownego korrespondenta w téj materyi, nie podzielamy. Gdyby wzrost i rozwój belletrystyki miał iść równolegle z wykształceniem kobiet, nasza społeczność pochłaniająca takie stosy powieści powinnaby pod względem oświaty niewieściéj stać na niedoścignionych wyżynach. Niestety.... tak nie jest.... a jest nawet zupełnie przeciwnie. *Wyłącznie* belletrystyczny kierunek naszych rozrywek literackich jest plagą, pochodzącą właśnie z braku wykształcenia. Uwydatniamy wyraz *wyłącznie*, nie myślimy bowiem odmawiać prawa bytu powieści, jednéj z najprzystępniejszych form poezyi. Pragnęlibyśmy tylko, aby wyborem tego rodzaju strawy kierowały warunki sztuki; będzie wtedy powieści *mniéj*, ale wytworzą się powieści *dobre*, a oba te symptomata będą niezawodném świadectwem wysoko posuniętéj kultury. (*Pr. Red.*)

ASTRACHAN.

Stolicą gubernii Astrachańskiéj liczącéj 3995 mil kw. obszaru i 453,575 mieszkańców jest miasto Astrachan położone na wyspie rzeki Wołgi, która w odległości 10 mil wpada niezliczonemi odnogami do morza Kaspijskiego. Jestto siedlisko arcybiskupów greckiego i armeńskiego, mieści w sobie admiralicyę i składa się z twierdzy (Kreml) Białego grodu (Biełoj gorod) i szesnastu przedmieść (słobody) między któremi najznaczniejsze pod względem obszaru są: kazańskie, sybirskie, i tatarskie. Astrachan posiada 2 katolickie kościoły, 1 luterski, 4 armeńskie, 30 greckich; liczy prócz tego 19 meczetów tatarskich, 2 klasztory greckie, jedno gimnazyum, ogród botaniczny 3 bazary i gościnne dwory, przystanie do statków, fabryki wyrobów z bawełny, jedwabiu, safianu etc. Prowadzi ożywiony handel z Persyą z wolną Tartaryą Indyami; odznacza się rozległą żeglugą, korzystnem rybołówstwem, i łowami na foki, posiada szkołę ogrodnictwa, trudni się wspaniałą hodowlą kawonów i słynną uprawą wina, i liczy 42,832 mieszkańców (rossyan, persów, bucharców, tatarów, kałmuków i cudzoziemców europejczyków). Do portu w Astrachanie przybija rok rocznie 900 do 1000 statków z towarem wartości 18 do 20 miljonów rubli. Na przestrzeni od Astrachanu do ujścia morza Kaspijskiego potworzyły się w dotychczasowych głównych wodach spławnych Wołgi tak liczne mielizny, że głębokość wody dochodziła w tych miejscach zaledwie 4—5 stóp, a czasem nie dosięgała 3 stóp. W takich tylko razach jeśli silny od morza Kaspijskiego wiejący wiatr, spowodował pewne zatamowanie spodnich wód Wołgi,—statki mogły dopływać do wyspy Bijuny na 90 wiorst od samego Astrachanu odległéj, a często, tylko zupełnie płaskie statki dostawały się do samego portu. Dla zaradzenia téj niedogodności, przystąpiono w 1856 roku wskutek Najwyższego rozkazu do usprawnienia jednéj z odnóg staréj Wołgi zamkniętéj dla żeglugi i przeznaczonéj jedynie na rybołówstwo. Tym sposobem za pomocą owéj odnogi i dwóch bocznych rozgałęzień pozyskano i dla większych statków dostępną kommunikacyę wodną między ujściami Wołgi i Astrachanem. Rybołówstwo jest przez rząd wydzierżawiane. Połów daje zwykle rocznie 100,000 wyzin, 300,000 jesiotrów i półtora miliona sewrugów (jesiotr gwiaździsty). Głównym przedmiotem wywozu jest kawior i pęcherze wyziny dające rocznie 6 i pół miljona dochodu. Stare miasto Astrachań zniszczone w czasie zdobywania w 1554 r. rozłożone było wyżéj na prawym brzegu Wołgi.

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(*Ciąg dalszy. Ob. Nr. 19*).

— Tobie to mnie wyrzucać! tobie! zawołał z kolei Zygmunt: coś za sobą cały regiment gachów przywiodła, żeby cię od męża bronili! tobie, co się królowi wdzięczysz, aby po Duparc wziąć dziedzictwo!..

— Milcz! krzyknęła Elżusia—mnie nikt prócz ciebie, jednego wejrzenia nie zarzuci! Moje sumienie czyste!

— A! na miłego Boga—przerwał Borodzicz: wstydźcie się państwo!.. To ulica! Już się okna zaczynają otwierać, ludzie gromadzą, straż nadejdzie może. Gdzieindziéj się z tym jegomością rozprawi... Tu nie miejsce... Weźmiemy go z Trzaską, zawiążemy gębę i zaprowadzimy pani do progu... niech się tam tłomaczy...

— Ja tłomaczyć się! przed kim? przed nią? Cóż to? czy wy mnie sądzić myślicie? zawołał Zygmunt umyślnie głosu nie szczędząc. Żona

mnie będzie dekretowała, a gachy wyrok wykonają! He! he! niedoczekanie wasze!

I krzyknął zawołując Dziemby, ale ten z za drzwi pokazywać się nie myślał, pamiętał na plecach ciężkie płazowanie Borodzicza.

Elżusia gniewna, ale poważna patrzała na męża.

— Niepotrzeba na ciebie wyroku, rzekła—tyś sam wyrok napisał na siebie—tyś sam, Pan Bóg go wykona! Proszę panów puścić go, chce iść za mną, niech idzie posłyszeć słowo ostatnie, a nie—niech wraca do ulubienicy... ja za nim gonić nie będę, a lękać się, nie lękam... Nie wart, żebyście sobie ręce o niego walali!

Usłyszawszy te wzgardliwe wyrazy, Zygmunt puszczony odskoczył, chwiejąc się i zataczając kroków kilka...

— Jędza! krzyknął wściekły... i któż się tu zdziwi, żem od téj kobiety uciekał! I ja też za waćpanią nie pogonię... choć mam prawo jako mąż, zamknąć cię, ukarać, mścić się... Z nią się ja kiedyś rozprawię, dodał; ale kto śmiał tknąć płazem i rękę na mnie podnieść, ten mi musi odpowiedzieć za to... Słyszycie waćpanowie?!

Borodzicz i Trzaska stanęli oba...

— Do usług jestem, ja pierwszy com waćpana pałaszował—rzekł Trzaska.

— A ja com za kark schwycił, także — dodał Borodzicz... Rozprawim się.

— Rozprawim...

— Nie daléj jak jutro! zawołał Zygmunt: gdy jejmość dobrodziejkę odprowadzicie do domu... Służę tu na radę... albo wprost do Bażantarni z pistoletami.

— Czego tu radzić? po co? przerwał Trzaska... Jutro na ósmą w lasku pod Bażantarnią...

— Jutro...

W czasie téj rozmowy wrzawliwéj, urywanéj i pośpiesznéj, Elżusia stała z rękami załamanemi, gniew jéj we łzach się niemych rozpłynął...

— Z jejmością rachunek zrobim gdzie indziéj, dokończył szydersko Zygmut; a że nie minie, to nie minie...

To mówiąc począł się do drzwi dobijać, za którerni stał Dziemba. W téjże chwili stryj i wojewoda od strony zamku z pochodniami śpieszący nadbiegli...

Lektyka stryja, któréj drążnicy ulękli się i wydali swych współtowarzyszów, nie zaszła daléj jak do gospody... Tu pan Eligi dowiedziawszy się o spisku, poleciał do sąsiada i cały dwór rozbudził... Ludzie, co go nieśli, na pirneńskie wskazali przedmieście... dokąd sam wojewoda, Rzesiński, pachołcy i co żyło w gospodzie się zbiegło... Zygmunt miał ledwie czas widząc ten tłum do domu się skryć i drzwi za sobą zaryglować... wojewoda bowiem po drodze, z zamku kilku prowadził żołnierzy. Wszystko to już się okazało niepotrzebném... lecz zgiełku i gwaru narobiło w mieście takiego, iż mieszkańcy sądzili, że się pali.

Panią Piętkową wsadzono do lektyki i w tryumfalnym pochodzie odniesiono do domu... Stryj Eligi płakał i modlił się—Elżunia z zaciśniętemi usty chodziła zamyślona...

— Herod-baba! szepnął stary z kąta—Herod-baba!!

Bażantarnią zwał się lasek, z którego późniéj przepyszny wielki ogród królewski zrobiono... Jak cała okolica ta niegdyś starą puszczą okryta, w któréj odwieczne dęby panowały— Bażantarnia miejscami gąszcze miała nieprzetrzebione jeszcze, z pośrodka których majestatyczne kolumnami strzelały buki, sosny, graby i lipy... Gdzie niegdzie zielona łączka śmiała się szmaragdowym kobiercem wśród posępnego lasu gęstwiny. Był to bór jeszcze pomnący Łużyczan czasy, gdy niemiecki zabór nie tknął nadłabańskich brzegów... Już naówczas z rozkazu Augusta w pośrodku rozpoczęto myśliwski pałacyk budować i zdobić, już stały domki dla różnych osóbek stawiane które, w tych cieniach ukryć się starano. Po bokach wszakże... puszcza była prawie nietknięta i drożynami wijącemi się kapryśnie poprzecinana. Dość tu było i aż nadto miejsca na rycerskie szermierki dworzan Augusta, zresztą do bojowania nie skorych... Pojedynkowano się dla popisu, z konieczności, by honor zaspokoić i pochwalić się zręcznem pchnięciem, ale nigdy śmiertelnie. Z uśmiechem jechał każdy na spotkanie, a weselszy jeszcze powracał.

Nikt też nie zważał na to, gdy nazajutrz rano przez zaroszone trawy i krzaki kilku ichmościów z pistoletami i szablami weisnęło się na oddaloną łączkę za Bażantarnią. Pierwszy, który się tu zjawił był Zygmuś, do pistoletów i pałasza tak pochopny jak do innych szaleństw... a teraz pragnący zemsty i rozzłoszczony śmiertelnie. Strzelał on dobrze a bił się przedziwnie. Nie zliczyć było pobcinanych przez niego. Dzięba mu towarzyszył, niewyspany, żółty, smutny i mruczący, że go całą noc zmora dusiła. Zygmunt darować mu nie mógł wczorajszego ujścia z placu... łajał go, ale że innego nikogo nie miał, posługiwać się nim musiał. Za drugiego drużbę służył Niemiec, który biernie się zachowywał i z tyłu trzymał.

Wkrótce po nich Trzaska, Borodzicz i dwóch ichmościów ze dworu wojewody, Rzesiński i Konacki nadjechali konno z dwoma czeladzi, dla trzymania koni. Tętent z daleka ich oznajmił, Zygmusiowi, oczy zajaśniały i ręce zadrgały, wyprostował się, potarł czoło.

— W to mi graj! zawołał i świstać począł.

Tymczasem pistolety opatrywał i skałkę krzesiwem nabijał...

Tamci zsiedli z koni... pozdrowiono się z daleka, Rzesiński poszedł do Dziemby, poszeptali coś z sobą... Trzaska się wysunął pierwszy... nie dając Borodziczowi wystąpić—o mało się o to nie zwadzili.

Gdy się szlachta chciała dla nabrania apetytu i puszczenia sobie krwi ściąć trochę w szabelki, szli wówczas pieszo przeciwnicy na siebie,—ale na prawdziwe spotkanie, na życie lub śmierć, o wielką honoru obrazę,—do boju „na rękę" wyzwany wyjeżdżał konno z pistoletami, dopiero gdy strzały wymieniono naprożno, walczono siedząc na koniach, jak na wojnie, orężem białym, póki sił stało. I tu więc przeciwnicy wystąpili na koniach... Zygmunt miał karego wychowańca, wychudzonego drogą i skąpym owsem saskim, ale zwinnego i ognistego... Trzaska szpaka żelaznego, przysadzistego, grubego,—konia niepokaźnego, lecz z którym dobry jeździec co chciał mógł zrobić.

Stanęli z dala i mieli jechać ku sobie, strzelając gdy im fantazya przyjdzie, bo spotkania ówczesne tak niewolniczo jak dziś ograniczane nie były.

Na bladéj twarzy Zygmusia znać było zajadłość wielką, hamowaną tylko, aby zemście nie stanęła na zawadzie.

Trzaska był na oko spokojny, chłodny, lecz z pod brwi skry mu się sypały, gdy na przeciwnika spoglądał...

Konie naprzód stępo iść zaczęły ku sobie, oba dobyli pistoletów, Zygmunt pierwszy mierzyć zaczął... za nim Trzaska... Trzymali się oba na celu wiodąc konie, które uszami strzygły—i łbami rzucały, gdy Piętka pochyliwszy się nieco strzelił... podniósł się na strzemionach, by z za dymu zobaczyć czy trafił, ale Trzaska nieruchomy siedział na koniu. Czaple tylko pióro od czapki ustrzelone precz poleciało. Strzelił i pan Seweryn, kula świsnęła mimo uszu Piętki, który się w głos rozśmiał... Stali od siebie na kilkanaście kroków, i jakby się zmówili, dobyli razem z olster pistoletów na nowo, rzuciwszy wystrzelone... Konie przystanęły, kary się zarył tylnemi nogami, prychał i naprzód iść nie chciał, parę razy spiął się dęba, opadł, łeb między nogi spuścił i krwawemi oczyma przed siebie patrzał.

Dwaj przeciwnicy mierzyli znowu... i Zygmunt z Trzaską strzelili prawie razem... koń Piętki zwinął się i padł na przednie nogi, a pan jego zeskoczył... Trzaska zachwiał się i padł... ranny był w bok...

Zygmuntowi nic się nie stało; cało wyszedłszy, konia nogą kopnął i śmiać się począł.

— A toć to nie koniec! podchwycił biegnąc Borodzicz... na miłość bożą—ja swojego nie daruję. My z sobą dawno mamy na pieńku, panie Zygmuncie, a i za przyjaciela Trzaskę... coś się mu należy.

— A! proszę! proszę! zaśmiał się Piętka: choćby trzem jeszcze to służę...

Tymczasem odnoszono Seweryna, który słowa nie pisnął, ani jęku nie wydał... krew mu się lała z boku, chustą ją tylko zakładał.

— A no, nic! zawołał ranę na prędce opatrując Rzesiński—bo naówczas szlachcic każdy cyrulikiem był do ran, tyle ich opatrywać musiano:—nic!.. trochę mięsa kula wyrwała, ale poszła sobie precz... byle krew zatamować... zgoi się to za parę tygodni!

Podano konia drugiego Zygmusiowi z pod Dziemby...

Chciano w głąb zanieść Trzaskę, aby go na murawie położyć wygodniéj, ale się nie dał:—Niech że się ja popatrzę! zawołał—toć mi się chyba należy.

Właśnie ci do strzemion się mieli—Borodzicz człek pobożny, przed koniem krzyż zrobił, i sam się przeżegnał, na kulbakę skoczył i już pistolet podniósł... Zygmuś coś pogwizdywał...

Koni obu ani było napędzić, czy je strzały nastraszyły, czy wrzawa, żachały się, rzucały w stronę, na siebie iść nie chciały. Borodzicz ostrogi wpił w boki swojemu, dwa razy z nim skoczył i osiadł w miejscu... Zygmusiowy głową nazad skręcił—ani sposobu go zbić na drogę... W czasie tego borykania z końmi, Trzaska krzyczał zniecierpliwiony:—Puszczaj mu cugle! nie zrywaj!

Gdy Borodzicz usłuchał, koń wreszcie trzęsąc się cały skoczył naprzód... Zygmunt swego głowę mu w górę poddarłszy zmusił też ruszyć z miejsca... wzięli się zaraz do pistoletów.

— Zygmuncie, zawołał Borodzicz — westchnij do Boga... czuję, że twoja ostatnia godzina wybiła... (*d. c. n.*)

Bibliografia Zagraniczna.

Die Lösung der socialen Frage durch die Frau; von Engell-Günther, 1872. (Rozwiązanie kwestyi społecznéj przez kobietę, etc. etc).

Oto jest tytuł książki, o któréj wzmiankujemy tu pokrótce dla tego, że jest może jedyném dziełem, które w tym ważnym zakresie nauki społecznéj przynosi mnóstwo nowych i zdrowych pomysłów. Widać w niém pracę lat kilku—pracę ze wszech miar sumienną, ścisłą i poważnie traktowaną. Autorem książki jest—kobieta. Ale tym razem dowiodła kobieta, że i bez emancypacyi nowego stylu można być doskonałym myśli-

cielem i rozwiązywać kwestyę społeczną w sposób, jakiegoby się nie powstydził żaden ekonomista tegoczesny. Autorka wsparta na Millu i Gneiscie — dwóch niepospolitych powagach w dziedzinie prawa i ekonomii politycznéj—dowodzi konieczności reformy w obecném stanowisku kobiety, ale ogranicza reformę tę do dwóch tylko punktów: 1) do wychowania kobiety na istotę praktyczną, na dobrą matkę, pracowitą żonę i córkę, pracującą wespół z rodzicami na utrzymanie domu; 2) do obudzenia życia, zmysłu praktycznego i rzetelnego poczucia pracy *w wyższych* warstwach społeczeństwa, w warstwach, w których autorka widzi główne źródło klęsk i ciężarów społecznych. Proletaryat stanów wyższych jest dla autorki głównym punktem, w który uderza wszystkiemi siłami swojego rozumowania. Autorka dowodzi przekonywająco, że dopóki kobiety klass wyższych nie będą pojmowały *pracy* w znaczeniu moralnéj konieczności, do któréj zresztą czy dziś czy jutro przyjść musi, póty o zrównoważeniu stosunków między prawami mężczyzn i kobiet mowy być nie może. Autorka nie szuka i nie pochwala owych tysiąca środków dla utrzymania i podniesienia bytu kobiety, o jakich marzą utopiści i utopistki — ale tém goręcéj i umiejętniéj szuka związku kobiety ze społeczeństwem na polu cichéj, rzetelnéj pracy, do któréj ją znowu gruntowne wychowanie domowe lub publiczne usposobić i przygotować powinno. Około wychowania domowego i publicznego kręci się jak około swéj osi całe rozumowanie autorki; nie żąda od niego swobód amerykańskich, ale pragnie, by ono w swoim zakresie było wystarczającém na potrzeby kobiety w każdym zawodzie, w jakim ją okoliczności postawią. Wskazówek, jak mężczyzna ma iść w pomoc kobiecie, w celu wyswobodzenia jéj z pod klątwy słabego jakoby rozumu i braku owego zmysłu praktycznego, jakim się mężczyźni z natury swéj odznaczają — wskazówek mówię, jak rządy i społeczeństwa całe dopomagać powinny słabszéj połowie do otworzenia sobie torów własnych, samodzielnych i zgodnych z charakterem i powołaniem kobiety, wskazówek takich jest w dziele pomienioném ilość nieprzebrana, a każda z nich godna jest być wypisaną złotemi literami na ścianach każdego ogniska rodzinnego. Wprawdzie autorka nie żałuje ani jednéj, ani drugiéj strony — ale mężczyzn cierpkie tam spotykają przymówki; zdaniem naszém, połowę win ciężkich należałoby przypisać może i prawom — ale kwestyę tę zostawiamy sumieniu autorki, która może miéć zresztą i słuszność bezwarunkową, tém bardziéj, że zna swój przedmiot gruntownie, wszechstronnie. To też i *Wieniec* nie omieszka podzielić się niezadługo ciekawemi z tego dzieła wyjątkami.

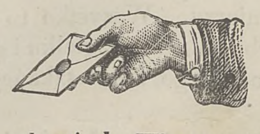
ROZMAITOŚCI.

— W Paryżu powstał niedawno projekt urządzenia stałej wystawy kopij wszystkich arcydzieł sztuki znanych w Europie. Promotorem projektu jest Ch. Blanc, znany w Paryżu kupiec dzieł sztuki.

Szkice Franciszka Kostrzewskiego.



Zapoznanie się przed karczmą. (96).



Panu **Aleksandrowi J.** Wiersze „Biedna Sierota" i „Szczęśliwa leśniczanka" drukowane nie będą.

Panu **X. Y. Z.** z Kalisza. O nadesłanie fotografii z widoków upraszamy.

Panu **Stanisławowi M.** Wiersz „Po wojnie" drukowany nie będzie.

Panu **M. K.** Artykuł nadesłany drukowanym nie będzie.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 24 Февраля (7 Марта) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.